

5.1. "Strafkopagnie" /Karna Kompania/

W połowie lutego 1945 r. nasze komando w Landeshut, stanowiące filię obozu w Gross-Rosen, liczące około 1600 więźniów różnych narodowości, przestaje nagle chodzić do pracy. Zatrudniające dotąd więźniów zakłady F-my Kramsta u.Methner AG, przeniesione na Dolny Śląsk, ze Schweinfurthu, ulegają likwidacji. Wszelkie urządzenia i maszyny tej fabryki łożysk są wywożone na zachód. I nas także szykują do ewakuacji. Dokąd? tego nikt nie wie.

14 lutego 1945 r. wieczorem ewakuacja jest już postanowiona. Zastępca Lagerältestera Stanisław Kowalski agituje jednak, aby ci którzy nie czują się na siłach pozostali w obozie.

Byłem już dostatecznie "zmuzułniany", aby nie czuć się na siłach do pokonywania pieszo bliżej nieokreślonych odległości. Poza tym dochodziły nas wieści o tym, że SS-mani mordują w czasie drogi więźniów osłabłych w marszu. Zdecydowałem się więc pozostać w obozie wraz z grupą około 350 osób. Było to także ryzykiem, bo można się było spodziewać - znając niemieckie metody - że nas postarają się wykończyć. Mam jednak do wyboru: ginąć gdzieś na drodze, czy na miejscu. Wybrałem drugą możliwość. Pozostawiało to nikłą iskierkę nadziei, że może jednak nie zdążą...

Następnego dnia rano, wydano wszystkim po całym bochenku chleba. Takiej ilości prowiantu na raz nie miałem już od dawna. Nie trwało to długo, kiedy z bochenka pozostały resztki. Zawsze to było pewniejsze, co w żołądku.

W dniu 15 lutego 1945 r. około godz. 8-ej wychodzą z obozu wszyscy zdolni do marszu. Nas w dalszym ciągu pilnuje 3-4 SS-manów. Mimo to szans na ucieczkę raczej nie ma, bo okalające obóz druty pozostają pod napięciem prądu.

Demokratycznie wybieramy nowe władze więźniarskie, co w warunkach obozowych jest niesłychane. Jest więc nowy Lagerältester, kapo na kuchni, pisarz obozowy, pisarz na kuchi itp. Jest przy tym trochę bałaganu, korzystamy więc z niego, aby trochę popróżnować. W gronie kilku kolegów dochodzimy do wniosku, że Armia Radziecka musi być gdzieś już bardzo blisko. Zapadło więc postanowienie przygotowania na powitanie zbliżającej się - w naszym mniemaniu - wolności kilku białoczerwonych i czerwonych chorągiewek. Udało nam się zdobyć trochę inleku o czerwonym zabarwieniu i trochę białego płótna, z którego krawcy mieli przygotować, co trzeba.

Nasz samorząd funkcjonuje jednak tylko przez kilkanaście godzin, gdyż cała grupa ewakuowana rano została zawrócona do obozu po przejściu około 20-tu kilometrów.

Teraz dopiero zaczęła się "zabawa" z tymi, którzy na ten "spacer" nie pposzli. Funkcyjni Niemcy z Richardem Peterem na czele darli się na nas z wściekłością: das sind die Erwartende die Bolschewisten /to są ci, którzy oczekiwali na bolszewików/. Z obozowej ewidencji wyłowiono wszystkie numery więźniów, którzy nie zgłosili się do ewakuacji. Jeszcze tego samego wieczora zabito kilku więźniów z naszej grupy, która natychmiast otrzymała miano i rygor karnej kompanii.

Przez cały następny dzień staliśmy na deszczu w równym pięcioszeregu. Pilnowali nas na zmianę funkcyjni i nie próżnowali przy

tym. Bili nas niemal wszystkich bez wyjątku przy użyciu grubych kijów. Kilku więźniów zostało zatłuczonych na śmierć.

Około godziny 12-3j na dyżur przyszedł kapo Regel - Niemiec, kryminalista z zielonym winklem. Razem z nim przyszedł jego najwierniejszy zauszniak Szulc, Polak pochodzący z Supraśla. Obydwaj są znani ze swoich zbrodniczych poczynań i sadystycznych skłonności.

Po pewnym okresie swej "pracy" podszedł do mnie Regel i ze zjadliwym uśmiechem i z trudem hamując wściekłość w głosie zapytał po niemiecku:

- My się znamy?

- Tak.

- Ty pracowałeś na Werku I przy tych dużych pittlerowskich obrabiarkach?

- Tak.

- I także oczekiwałeś na Bolszewików?

Nawet nie zdążyłem odpowiedzieć, kiedy huknął mnie w głowę trzonkiem od łopaty, poprawił po raz drugi, przy czym trzonek pękł mi w rękę. Odgłos trzaskającego kija z ledwością dotarł do mojej świadomości, bowiem już po pierwszym uderzeniu, zamortyzowanym zresztą nieco włożoną skrycie pod czapkę chusteczką do nosa, świat zawirował mi przed oczami. Po drugim zaś zwałem się w błoto, tracąc przytomność.

Ocknąłem się po jakimś czasie. Stojący po bokach koledzy podtrzymywali mnie pod ramiona. Leżeć na ziemi mieli prawo tylko zabici, ja zaś jeszcze żyłem, więc musiałem stać na własnych nogach.

Tego dnia nie dostaliśmy absolutnie nic do zjedzenia ani picia. Pomalowano nam tylko olejną farbą czerwone koła na piersiach i plecach naszym ubrań oraz na spodniach i czapkach, wygolono brzytwą paski przez głowę, na krzyż. Już po wieczornym apelu zerwano z łóżek około 70-osobową grupę do nocnej pracy. Zobaczyliśmy ich rano, prowadzonych przez Regla i Szulca. Około 10-ciu zabitych nieśli właśnie koledzy na ramionach lub wieźli na wózku.

Tego dnia podzielono nas wszystkich na kolumny robocze. Dostałem przydział do 50-osobowej grupy, wyznaczonej do pracy na tzw. III Werk, pod komendą Zappka. Przed samym wyjściem z bramy obozu, do stojącego w naszym szeregu, starszego wiekiem więźnia Albina Brzostowskiego, księgarza z Białegostoku przyskoczył pisarz kuchni, Niemiec, bijąc go pięścią w twarz i wskazując go Zappkowi, aby ten zapamiętał jego postać. Brzostowski "zasłużył" sobie na nienawiść Niemca tylko tym, że przez kilkanaście godzin ewakuacji pozwolił sobie pełnić na kuchni jego obowiązki pisarskie.

Kolumna nasza zatrzymuje się u wrót olbrzymiej hali fabrycznej III Werku. Zappek niemal natychmiast wyciąga z szeregu niefortunnie wskazanego uprzednio przez Niemca, uderzeniami pięści zwała go z nóg, poczem kilkakrotnym kopnięciem drewnianym butem w czaszkę pozbawia życia.

Dostajemy przydział pracy. Zadaniem naszym jest przenoszenie stalowych podwozi od fabrycznych wózków szynowych, o wadze po ca 200 kg każde na odległość około 400 m. Wolno nieść najwyżej 4 więźniom jedno podwozie i tylko wysoko na ramionach. Wtedy rozpoczęła się "zabawa" z nami, gra o najwyższą stawkę: życie lub śmierć!

Zewsząd słyhać było potworne wrzaski funkcyjnych, SS-manów, i bitych, łomot kijów i tupot drewniaków. Pot zalewa oczy, a serce bije takim rytmem, że mało z piersi nie wyskoczy. Nie ma co ukrywać, strach przed śmiercią ogarnia również i mnie.

Ciężar niesionego podwozia wprost przygniata do ziemi, a zimne żelazo wyslizguje się z osłabłych rąk. Nie mamy dość siły do

dźwignia tak wielkich ciężarów. Próbuje więc toczyć podwozia kołami po rozmokłej ziemi. Hoch! hoch! wrzeszcza na taki widok SS-mani i funkcyjni i biją kijami w zgięte od wysiłku karki. Staramy się więc ponownie dźwignąć na barki ten ciężar ponad siły.



Landeshut Werk III widok ogólny  
miejsce kaźni karnej kompanii  
Nr arch. Gross-Rosen 3.2.1.5

Falisty teren utrudnia widoczność. Nie ma czasu na obserwację, bo poruszać się musimy tylko biegiem. Od czasu do czasu słychać pojedynczy wystrzał karabinowy. W pewnym momencie widzę jak Regel skinięciem ręki przywołuje do siebie mojego przyjaciela Wołodę, który podchodzi z wolna.

Regel pyta go krótko: nie chcesz, czy nie możesz pracować? Na jego odpowiedź, że nie może, Regel każe mu biec przed siebie. Widzę jak stojący przy Reglu SS-man repetuje karabin i oddaje do biegnącego strzał w tył głowy. Wołodia wali się na ziemię. Już nie zobaczy swojej rodzinnej Wołody.

Byłem już u kresu sił, gdy kazano mnie i trójce innych kolegów rozpocząć załadunek rzuconych na stertę podwozi wózków na wagon kolejowy, stojący na bocznicach, biegnącej poniżej, w wykopie. Przy tej czynności nasza czwórka mogła nieco odetchnąć.

Około godziny 13-ej przywieziono nam zupę z jakiejś zieleniny suszonej, tak gorzką i wstrętną, że mimo wygłodzenia nikt nie był w stanie jej zjeść.

Potem kazano nam zebrać zabitych kolegów i załadować ich ciała na platformę odwożącą do obozu kotły po "obiedzie". Przez te kilka godzin 18 więźniów zostało zabitych. Razem z zabitymi odeszło do obozu pod eskortą 12 więźniów.

Pozostało nas około 20 na tym polu śmierci. Kazano nam teraz rozładować wagon, który do południa z takim trudnym załadowaliśmy podwoziami od wózków. Podczas rozładunku do młodego chłopca - partyzanta, schwytanego tuż przed Nowym Rokiem na Podhalu, podchodzi Zappeck. Początkowo drwiną usiłował go sprowokować do jakiegoś de-

sperackiego odruchu. To jest ten - powiada z kpiącym uśmiechem - który się tak ciągle modli. Widząc, że jego drwiny nie odnoszą żadnego skutku, uderza chłopca kilkakrotnie w twarz, poczem każe mu biec przed siebie. Kiedy szcztuty w dodatku psem chłopiec biegnie, rudy SS-man strzela z karabinu w tył jego głowy.

Zabitego przenieśliśmy na własnych ramionach do obozu akurat w czasie wieczornego apelu. Sprawdzającemu stan więźniów Raportführerowi, Zappek melduje służbiście: dwudziestu więźniów z pracy! Ten dwudziesty leży obok, zamordowany. Lecz ilość więźniów musi się zgadzać - Ordnung muss sein! /porządek musi być/.

Podobnie, jak z naszą kolumną roboczą, postępowano w tym dniu z pozostałymi "karniakami". Ogółem w ciągu 2 dni zginęło około setki naszych kolegów.

Dalszy masowy mord "karnej kompanii" został wstrzymany z powodu interwencji władz wojskowych i protestów miejscowej ludności, na oczach której mordowano więźniów. Wreszcie front był już dość blisko,

Dziś myślę, że najbardziej sprzyjającą okolicznością, która umożliwiła przetrwanie pozostałym przy życiu "karniakom" było to, że nie skoszarowano nas razem na oddzielnym bloku. Wprawdzie naznaczono nas czerwoną farbą, lecz utonęliśmy w masie innych więźniów. A może chodziło i o to, że wcielenie nas do karnej kompanii zostało dokonane nieformalnie, bez udziału "politische Abteilung", który w owym czasie już nie istniał, bo Gross-Rosen było w rękach radzieckich. Gdyby nie te okoliczności z 350 osobowej grupy "karniaków" pozostałoby po tygodniu przy życiu nie więcej niż 5-6 osób, tak jak nam to obiecywano.

Oczywiście represje w stosunku do "karniaków" nie skończyły się, przybrały inną formę, jak stałe szykany, najgorsza praca itp.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.3.5.

Warszawa, marzec 1973 r.

#### G ł ó d

Jest sprawą powszechnie znaną, że celem szybszego wyniszczenia więźniów w obozach, hitlerowcy dawali im znacznie mniejsze racje żywnościowe, niż to wynika z minimalnych potrzeb dla utrzymania człowieka przy życiu. Postępujące w miarę upływu czasu wycieńczenie organizmu na skutek niedożywienia powodowało w obozach zwiększoną śmiertelność.

Nie wszyscy jednak cierpieli głód. Nie brakowało jedzenia wszystkim prominentom pełniącym różne obozowe funkcje. Poza tym część więźniów, z mniejszą lub większą regularnością, otrzymywała paczki żywnościowe z domu, niektórzy nawet w takich ilościach, które przekraczały ich potrzeby. Kupowali więc sobie za nadmiar żywności albo rozmaite usługi gorzej sytuowanych kolegów, takie jak np. pranie, sprzątanie po sobie itp. albo też lepszą odzież lub jakieś drobiazgi.

W najgorszej sytuacji byli pod tym względem więźniowie Rosjanie, Jugosłowianie, Cyganie, Grecy, Żydzi, którzy nie korzystali z żadnej pomocy aprowizacyjnej z zewnątrz. Od lipca 1944 r. włącznie, pomocy takiej byli również pozbawieni wszyscy Polacy, posiadający rodziny na wschód od Wisły, gdyż ze względów oczywistych nie było żadnej łączności z terenami wyzwolonymi spod okupacji.

Ja również zaliczałem się do tej ostatniej grupy. W sierpniu 1944 r. powołano mnie w Landeshut do utworzonej w tym czasie tzw. sztuby dla młodocianych, usytuowanej na piętrze bloku obozowej kuchni. Było nas około 60-ciu w wieku od 14-tu do 18-tu lat. Teoretycznie traktowano nas identycznie, jak pozostałych. Jednak mieszkający z nami przez ścianę kucharze dbali o nas nieco, obdarowując czasami swoimi porcjami zupy, które sami uważali za niejadalne. Sytuacja taka trwała jednak krótko, około 2 miesięcy, poczem w październiku 1944 r. "rozparcelowano" nas na inne bloki.

Więźniowie chwyтали się różnych sposobów, aby zdobyć dodatkowe ilości środków żywnościowych, przede wszystkim wykonywali w fabryce w czasie pracy tzw. "fuchy". Były nimi igły do szycia, których ciągle było brak, ozdobne numery obozowe na rękę w kształcie zegarka, znajdujące zawsze nabywców wśród prominentów, jakieś statuetki lub inne drobiazgi. Inni, sprytniejsi, handlowali w obozie czym się tylko dało, a walutę obiegową stanowiły papierosy, za które nabyć można było niemal wszystko, co w takich warunkach było potrzebne do życia. Najgorszą sytuację mieli pałacy, a zwłaszcza ci, którzy za papierosy oddawali przydziałowe porcje chleba. Przyspieszało to wyniszczenie organizmu, po czym następowała zwykła więziarska śmierć z wycieńczenia.

Pamiętam Janà Kawę, przywiezionego w sierpniu 1944 r. do naszego Komanda w transporcie z więzienia w Tarnowie. Był kowalem z zawodu, zaś z postury olbrzymim zwałistym chłopem w wieku około 27 lat. Należał jednak do tych, którzy od samego początku pobytu w obozie nie mogli opanować głodu. Chwytał się więc najprymitywniejszych sposobów, aby po raz wtóry stanąć w kolejce po zupę, dopchnąć się na siłę po repetę. Parokrotnie przyłapano go na tym, za co dostawał potężne bicie, na skutek czego zmarł już we wrześniu 1944 r.

Zdobyc dodatkowo jakąś porcję strawy było niezmiernie trudno, czasem się to jednak udawało. Mniej więcej w listopadzie 44 r. nasza 20 osobowa "Hofkollona" dostała polecenie rozładowania wagonu kolejowego na fabrycznej bocznicy. Wagon ten był do połowy zapełniony workami cementu, w połowie zaś beczkami z kiszonymi ogórkami, przeznaczonymi do ss-mańskiej kuchni. Skręcający trzewia głód, spotęgowany do tego drażniącym nozdrza zapachem ogórków był nie do wytrzymania. Opanowała nas obsesyjna myśl, żeby się do tych ogórków dostać, ale jak? Z Jankiem Z. z Grudziądza nie trzeba było na ten temat gadać, wystarczyło mrugnąć okiem. Spuszczona po pochylni z desek beczka z nagła "wyślizguje" nam się z rąk, spada katem na zamarzniętą ziemię i rozlatuje się. Dobra nasza! Wszyscy jedliśmy te ogórki, ile tylko kto mógł. Byliśmy tym tak zafascynowani, że nie zwracaliśmy na nic uwagi. Nagle usłyszeliśmy głos głównego dyrektora fabryki, opasłego Niemca ze swastyką w klapie, który darł się do pilnującego nas SS-mana: pass doch auf die verfluchte Schweinehunde! Sie sollen das nicht fressen! Gadaj sobie zdrów, co w żołądku, to nasze. Skacowanemu SS-manowi nie chciało się w tym dniu zbyt zaprzętać sobie nami głowy, więc w dalszym ciągu nie zwracał uwagi na nasze zajęcie. Beczki pełne i tę rozbitą zanieśliśmy pod szopę. Ale po pewnym czasie zjedliśmy wszystkie zdobyte ogórki i znów jeść się chce. Postanowiliśmy niby to pozbiierać spod wagonu resztki rozsypanego cementu, aby się nie zmarnował. Było tego około kilograma, lecz nieśliśmy to na rozpostartej płachcie papieru, a wszystko po to, aby mieć pretekst do wejścia pod szopę, gdzie były ogórki. Cement rzuciliśmy w połowie szopy, przyskoczyliśmy do beczki. Ogórkami napchaliśmy sobie wszystkie kieszenie kurtek.

Tego dnia po raz pierwszy od wielu tygodni byłem najedzony, zjadłem nie mniej niż 3 kg ogórków na raz, bez zdanych ujemnych skutków dla żołądka.

W drugiej połowie lutego 1945 r., po ewakuacji zatrudniającej nas dotąd fabryki łożysk, całe nasze Komando w Landeshut przestało pracować. Co dzień wyznaczano tylko niewielką grupę do grzebania zmarłych, których ilość zaczęła gwałtownie wzrastać. Znikome i tak racje żywnościowe ograniczono jeszcze bardziej. Nasze dzienne menu składało się: rano i wieczorem po 1/2 litra gorzkiej kawy zbożowej, w której jedyną wartość odżywczą stanowiły tzw. fusy, 1/2 litra polewki, zwanej zupą, po otrzymaniu której za nadzwyczajnego szczęśliwca mógł się uważać znalazca listka kapusty lub kawałka brukwi; jeden bochenek chleba dla 8-miu lub czasem 12-tu osób.

Poza tym niemal całkowicie ustał wszelki dopływ paczek żywnościowych z zewnątrz. Powstał więc w obozie głód wprost nie do wytrzymania. Z głodu większość kolegów zaczęła puchnąć. I ja również miałem obrzęk twarzy i najcięższe w tych warunkach - obrzęki stóp. Wielu więźniów ogarnęła gorączka głodowa. W obozie widać było czasami zorganizowane watahy, które nie bacząc na wszelkie zakazy i potworne bicie, rzucali się na pilnowane bacznie śmietniko przy kuchni, aby tam zdobyć jakąś zapomnianą kość lub obierkę z brukwi.

Któregoś dnia w samo południe do bramy obozu wtoczył się z wolna zaprzężony w woły wóz, załadowany po brzegi burakami pastewnymi, które miały być zakopcowane w przeciwległym krańcu obozu. Trudno powiedzieć, kto wtedy dał hasło do ataku. Na taką zdobycz rzuciły się w mgnieniu oka setki wygłodniałych muzułmanów. Nie pomogła zorganizowana z funkcyjnych na prędko obrona wozu, nie pomogło żadne bicie kijami i łopatami, zgłodniała tłuszcza była silniejsza w swojej masie. Do miejsca przeznaczenia dotarły nędzne resztki buraków, mimo że na trasie przejazdu wozu pozostało kilku zabitych i rannych. Zagrabione buraki spożywano natychmiast, ze skórą i resztkami piasku.

Innego dnia dostałem się do grupy, która miała uprzątnąć opustoszałe hale fabryczne tzw. II Werku. Nikt z nas nie ma ochoty do pracy, wszyscy zaś natychmiast rozbiegli się po halach w poszukiwaniu resztek pożywienia w pustych szafkach niemieckich robotników cywilnych. W którejś z kolejnych szafek udało mi się znaleźć 2 surowe ziemniaki. Tym razem nie mogłem opanować wprost zwierzęcego głodu i zjadłem je natychmiast z łupiną, a smakowały mi tak jak najlepsze pączki. W innym pomieszczeniu znalazłem zeschnięte skórki chleba i zjadłem je natychmiast.

A więc i mnie ogarnęła gorączka głodowa, wprost nieludzki instynkt, coś silniejszego od logiki i wszelkich innych nakazów. Dotąd byłem w obozie zawsze głodny, lecz takiego uczucia jak teraz nie zaznawałem.

Musiałem być wtedy już bardzo "zmuzułmaniały", czego wymownym świadectwem może być fakt, że w dwa tygodnie po wyzwoleniu obozu, po pewnym okresie lepszego odżywienia, przy którym musiał następować pewien przybytek wagi, ważyłem nieco ponad 31 kg, co przy moim wzroście 174 cm było wagą poniżej wszelkich norm. Nic więc dziwnego, że nastąpił u mnie w tym czasie niemal całkowity zanik mięśni. Dlatego to z wielką trudnością pokonywałem takie przeszkody, jak np. schody na I piętro.

Pozostało mi z tego do dziś w psychice to, że nie znoszę wprost widoku psującej się żywności, a zwłaszcza chleba, do którego mam wielki szacunek.

Nie byłem na pewno jedynym, który tak się zachowywał. Przykładem tego był starszy wiekiem więzień, pochodzący z Poznańskiego, nazywany przez nas "Dziadkiem". Przesłano go ze Straflagru w Blechhammer/Blachownia Śl./. Jako człowiek znający język niemiecki miał trochę łżej w obozie, a ponadto regularnie otrzymywał paczki żywnościowe, wprawdzie skromne bardzo, ale jednak. Paczki te sprawiały, że "Dziadek" nie odczuwał pełni głodu. Nie mógł też zrozumieć innych, którzy z głodu zawsze i wszędzie węszyli za ochłapami czegoś, co nawet w najmniejszej mierze nadawało się do zjedzenia. Wyrzekał też zawsze na widok ludzi szukających pożywienia w obozowym śmietniku. To świństwo - mawiał.

W styczniu 1945 r. "Dziadek" również przestał otrzymywać paczki żywnościowe. Po kilku tygodniach zauważyłem "Dziadka" szperającego właśnie w śmietniku. Na moją uwagę "Dziadek" odpowiedział: teraz naprawdę głodny jestem.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.3.12

Warszawa, luty 1973 r.

### Kopanie rowów przeciwczołgowych

W marcu 1945 r. po kilkutygodniowej bezczynności i "bezrobociu", znaczącym dla nas przede wszystkim wprost niebywały głód, powodujący śmierć wielu kolegów, obóz zaczął ponownie pracować. Siłę roboczą więźniów zakupił Wehrmacht dla budowy umocnień obronnych wokół Landeshut, przede wszystkim budowy w ziemi stanowisk ogniowych broni przeciwpancernej oraz rowów przeciwczołgowych. Dla nas był to powrót do norm wyżywieniowych sprzed okresu bezrobocia, a więc zwiększonych, choć nadal głodowych i niewystarczających.

Pierwszy dzień pracy był wprost koszmarny. Około 1000 więźniów SS-mani prowadzili kilkanaście kilometrów za miasto w kierunku zachodnim. Panowała śnieżna zadymka. Mokry śnieg lepił się do podeszew drewnianych butów, tworząc półkolistą kilkucentymetrową zbitą warstwę, której nie było jak usunąć. Po przejściu kilku kilometrów na takich podeszwach nie można już było iść. Kilku więźniów już na początku drogi padło ciężko w śnieg. Jeszcze nie wiedzieliśmy dlaczego przy każdym z leżących pozostaje po jednym SS-manie. Ci spośród kolegów, którzy posiadali obuwie na skórzanej lub gumowej podeszwie byli szczęśliwcami.

Po przybyciu na miejsce robót byliśmy śmiertelnie zmęczeni i tak skotniali z zimna, że nie można było utrzymać w ręku żadnego narzędzia, ani łopaty, ani oskarda.

Kończyliśmy robotę przed zmierzchem i wracaliśmy do obozu. Ta powrotna droga była jeszcze bardziej koszmarna wobec wyczerpania całodzienną pracą. Coraz więcej ludzi z braku resztek sił padało w śnieg. Oznaczało to w praktyce koniec wszelkich ziemskich mąk, trosk i bólu, gdyż SS-mani z eskorty strzelali dobijając leżących.

Po przejściu kilku kilometrów i mnie opuściły siły i zwałem się na ziemię. Było mi wszystko jedno, co się ze mną stanie. Powoli mijały mnie szeregi kolegów, nawołując do powstania z ziemi, lecz nie miałem na to sił. Leżałem tak kilka dobrych chwil, kiedy podbiegł do mnie SS-man z eskorty prowadzącej na samym końcu kolumny najbardziej osłabłych w marszu więźniów. Zdzielił mnie kolbą karabinu zmuszając do podniesienia się, po czym wrzasnął: zdejmuj buty! W ten sposób pozostałe kilka kilometrów do obozu przeby-

łem po śniegu w samych skarpetach. Niezaprzeczalnie uratowało mi to życie.

W tym dniu zginęło wielu kolegów, a między innymi jeden z braci Ruśniaków, pochodzący z Białostockiego. Mnie się tym razem udało: po powrocie do obozu nie miałem nawet kataru.

Do dziś nie mogę pojąć, jakimi pobudkami kierował się ten SS-man, każąc mi zdjąć buty. Na pewno nie kierowało nim żadne uczucie litości, gdyż był to mój prześladowca od kilku miesięcy. Zaczęło się to jeszcze w czasie, kiedy pracowałem na II Werku. Dostałem polecenie wyładunku z samochodu opakowań do łożysk. Ponieważ w pomieszczeniu było zimno, przeto dla ochrony kostniejących rąk chwytałem ładunek przez zsunięte rękawy pasiastej marynarki. Wtedy podszedł do mnie ten właśnie SS-man i spytał: zimno na renki? Kiedy zdumiony tą dziwną polszczyzną nie odpowiadałem przez chwilę, powtórzył pytanie po niemiecku. Na moją twierdzącą odpowiedź, zamierzył się na mnie kolbą karabinu, przy czym poślizgnąwszy się przy zamachu na topniejącym śniegu, runął jak długi na ziemię. Kiedy się podniósł, skatował mnie tak bardzo, że przez kilka dni jedynie z wielką trudnością mogłem się poruszać. Później zaś znęcał się nade mną przy każdej nadarzającej się okazji, bez powodu. Jestem pewien, że gdyby napotkał mnie w karnej kompanii, nie żyłbym już.

Tym razem jednak jego złośliwość w stosunku do mnie właśnie mnie ocaliła.

Do kopania okopów przeciwczołgowych chodziłem jeszcze przez kilka dni. Zmieniła się jednak pogoda, przeto droga w obydwie strony stała się bez porównania lżejsza. Poza tym mieliśmy już pewne doświadczenie, które pozwoliło zabezpieczyć się przed groźbą śniegu lepiącego się do butów.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.3.8

Warszawa, marzec 1973 r.

#### "Revier" /obozowy szpital/

W połowie marca 1945 r. zwałała mnie z nóg dolegliwość żołądka, nb. zbierająca w obozie największe żniwo śmierci, zwłaszcza wśród "muzułmanów". I ja już byłem "muzułmanem", do czego znacznie przyczynił się kilkutygodniowy okres zmniejszonych do minimum, i tak skąpych racji żywnościowych. Przez kilka dni chodziłem jeszcze do pracy przy kopaniu rowów przeciwczołgowych, gdyż nie chcieli mnie przyjąć na izbę chorych, zwaną "Revier". Męczyłem się więc bardzo i coraz więcej opadałem z sił. Szczęśliwym dla mnie zbiegiem okoliczności dostrzegł mnie kiedyś St. Kowalski, pełniący "de nomine" obowiązki zastępcy "Lagerältestera", faktycznie zaś prowadzącego magazyn odzieży. Widząc moją mękę, Kowalski kazał mi następnego dnia zgłosić się ponownie na Revier. Dostałem się tam za jego protekcją.

Ulokowano mnie na 2 sztubie, u sztubowego Mariana S. Był to młody chłopak, lat ok. 22, mający jakieś komplikacje z płucami. Tak samo jak i ja dostał się do Revieru przez protekcję, która umożliwiała mu od kilku miesięcy rekonwalescencję, gdyż żadna praca go nie obowiązywała, chociaż inni w tym samym stanie zdrowia musieli chodzić normalnie do pracy.

I mnie spotkało to szczęście, że nie musiałem pracować. Mój zo-

łodek nie dawał mi o sobie zapomnieć w dzień i w nocy. Drugiego dnia pobytu na Rewierze dojrzał mnie Revierkapo, zwany "Dzięciołem" /nosił granatową czapkę kolejarzy niemieckich z naszytą na niej czerwoną łata/. Był nim Polak, młody więzień, o nazwisku Tomczyński, podobno był elew szkoły kadetów we Lwowie, dość narwany, mający jednak swoje pozytywne cechy. Podszedłszy do mnie zapytał obcesem: ty chcesz żyć? Pytanie z pozoru dziwne, zwłaszcza że pytany miał dopiero 19 lat. Oczywiście, chcę! To masz nie jeść! nic! Tak długo, jak tylko wytrzymasz! To jedyne lekarstwo dla ciebie, bo inaczej zdechniesz! Później spróbuję cię odkarmić repetà. Zbieraj sobie tylko chleb i susz! Na moją uwagę, że przy tak wycieńczonym organizmie nie wytrzymam głodówki, "Dzięcioł" odpowiedział tylko: musisz!

Posłuchałem tej rady, nie jadłem więc nic przez cztery kolejne dni, a żołądek przestał mi dolegać. Później znów nastąpił nawrót choroby, znów więc głodowałem przez 3 dni, poczem po poprawie i kolejnym nawrocie dolegliwości, głodowałem dalsze 2 dni. Nie wyleczyłem tym sposobem żołądka, bo jego dolegliwości odczuwałem jeszcze długo, nawet po wyzwoleniu. Znacznie jednak zelżały jego dolegliwości, okresami było nawet zupełnie dobrze. W mojej sytuacji głodówka była oczywiście namiastką środków leczniczych - z braku jakichkolwiek lekarstw w obozie - gdyż choroba miała swoje podłoże w ogólnym wycieńczeniu organizmu, pozbawionym podstawowych witamin. Niemniej była skuteczna.

Na Rewierze miałem dużo lepsze warunki przede wszystkim dlatego, że nie musiałem chodzić do pracy. Jedynym zajęciem moim i innych kolegów była niemal dwudziestoczwierogodzinne szukanie insektów w odzieży, które rozmnożyły się u wszystkich bardzo z powodu braku możliwości kąpieli i zmiany bielizny, i to od wielu miesięcy. Czasem Marian z nudów wymyślał dla nas jakieś bezsensowne zajęcia, czasem kogoś z chorych więźniów zbił dotkliwie, też chyba z nudów.

Kiedyś do umywalni Revieru zaprowadzono więźnia o nazwisku lub przezwisku Patyk. Nie wiem, czym ten człowiek się naraził. Przez jakiś czas słyszeliśmy tylko jego jęki i krzyki z bólu. Później odgłosy te umilkły, Patyk nie żył już. To sztabowi Tadeusz Osowski i Marian "załatwili" chłopca na zawsze - śmiertelnie.

Spośród sztabowych Revieru na szczególną uwagę zasługiwał Tadeusz Osowski. Ten młody, około 20-letni więzień o przyjemnym z pozoru wygądzie, wywodzący się z inteligenckiej rodziny, najmniej chyba zasługiwał na miano człowieka. Swoich podopiecznych katował w najwyszukańszy sposób, a czynił to z wyraźnym zadowoleniem na uśmiechniętej twarzy.

Na Rewierze panowała wysoka śmiertelność. Przypisać to można w części obozowemu wyżywieniu, zawsze głodowemu. Najważniejszą jednak przyczyną zgonów było to, że nie było tam lekarstw. W takim stanie rzeczy wszelkie wizyty lekarza i sanitariuszy; L. Kołakowskiego - studenta medycyny i R. Raczyńskiego, stawały się zwykłą formalnością. Lekarz z reguły sprawdzał tylko, czy stan zdrowia chorego nie polepszył się na tyle, że może iść do pracy, aby zwolnić miejsce dla innych chorych. Obydwaj sanitariusze, w miarę swoich możliwości, starali się pomagać chorym, lecz możliwości mieli znikome.

Z tych to powodów radziecki partyzant, pochodzący z Polesia, złapany przez Niemców gdzieś w Lubelskim, żył na Rewierze tylko 2 dni. Przyprawiony z silną temperaturą Tadeusz Pietrzak z Warszawy zmarł po 3-ch dniach. Innym razem przywieziono z pracy jakiegoś więźnia również z silną temperaturą. Z braku miejsca położono

go na jednej pryczy ze mną. Kiedy następnego dnia rano przebudziłem się, mój współlokator z pryczy był już sztywny, nie żył.

Na krótko przed wyzwoleniem, do mojej sztuby przyszedł b.kil-kugodzinny Lagerältester z okresu ewakuacji obozu w lutym 1945 r. o nazwisku Wojciechowski. Miał prawdopodobnie daleko zaawansowaną gruźlicę "galopkę", której początków z pewnością nabawił się w karnej kompanii. Tylko tydzień cieszył się wolnością, gdyż wkrótce po oswobodzeniu z obozu zmarł.

Na Revierze był także gabinet dentystyczny, z fotelem i bormaszyną. Lecz urzędujący tam lekarz - stomatolog narodowości francuskiej nie posiadał materiału na plomby. Z konieczności więc co najwyżej wrywał bolące zęby na żywca, bo o leczeniu i znieszczeniu nie było mowy.

W mojej sztubie przebywał także Staszek Wachsberger, syn piekarza z Bielska Białej. Jego ojciec natychmiast na początku okupacji został Reichsdeutschem, matka zaś pozostała przy narodowości polskiej. Ojciec spowodował wcielenie wszystkich braci Staszka do Wehrmachtu, jego zaś, jako nastolatka oddał do Reichsarbeitsdienstu, skąd ten po jakimś czasie uciekł. Z braku innego oparcia szukał pomocy u matki, którą dostarczała mu jedzenie do znajdującej się w pobliżu domu kryjówki. W ręce Gestapo wydał Staszka jego własny ojciec. Od roku 1940 Staszek przebywał w Auschwitz. Do Gross-Rosen trafił jako jeden z pierwszych więźniów. O warunkach pobytu w tym obozie w latach poprzednich opowiadał wprost niewiarygodne okropności, znał wszystkich obozowych zbrodniarzy, nie wyłączając słynnego Vogla z karnej kompanii. Wiosną 1945 r. Staszek był strzępem ludzkim, gdyż pożerała go gruźlica. Doczekał wyzwolenia obozu, lecz z pewnością nie długo mógł cieszyć się wolnością.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.3.6

Warszawa, kwiecień 1973 r.